# TYGODNIOWY PRZEGLĄD LITERACKI KOŁA PISARZY Z POLSKI

Rok II.Nr.18./26/ 151 East 67 Street,New York,N.Y. 30.IV.1942

## N i e b e z p i e c z n y s l o g a n.

Na każdym kroku słyszy się dziś formułę, powtarzaną przez mężów stanu, wojskowych i publicystów:

-Naszym jedynym celem jest obecnie wygrać wojnę. Na wszystko inne przyjdzie czas po zwycięstwie. Nie sposób mówić już dzisiaj konkretnie o przyszłej organizacji świata. Tak czy owak od zakończenia działań wojennych do podpisania jakiegoś traktatu pokojowego upłynie czas długi, conajmniej 2 lata, a może 4 lub 5... Będzie to okres przejściowy między wojną a pokojem, w którym aż nadto będziemy mieli czasu do spokojnego opracowania nowej politycznej i gospodarczej organizacji świata...

-No, tak, oczywiście - potakują wszyscy. Nie podobna, by natychmiast, gdy ustanie szczęk oręża z chaosu wojny wyłonił się nowy i gotowy porządek rzeczy, niby Minerwa z głowy Zeusa. Musimy przejść najpierw jakiś okres przejściowy, tak już to było zresztą także po pierwszej wojnie.

I ludzie powtarzają bezmyślnie te słowa, niby uświęcony doświadczeniem wieków aksjomat, nie zdając sobie sprawy, że w tym zespole pojęć ukryte jest groźne - dla narodów i dla całej naszej cywilizacji - niebezpieczeństwo.

Bo wojna obecna - jak znowu wszyscy to przyznają - jest równocześnie w większym stopniu, aniżeli którakolwiek z dotychczasowych - wielką rewolucją. Zniszczyła ona już wiele i niszczy codzień coraz więcej nietylko żywotów ludzkich i dóbr materialnych ale także stare instytucje, urządzenia, zakorzenione dogmaty, na których opierało się nasze życie i których rzekomej nieodzowności nauczyły nas dziesiątki lat lub stulecia. Niektóre z tych instytucyj, skazane bezapelacyjnie na śmierć, utrzymują się dzisiaj dzięki surowym prawom wojny i mechanizmowi rozkazodawstwa wojennego, który tak samo trzyma w ryzach rozliczne a sprzeczne ze sobą dążenia, apetyty, żądze milionowych mas ludzkich.

Ale, gdy wojna się skończy, gdy ustanie działanie praw wyjątkowych, gdy choć upojone zwycięstwem, to jednak zmęczone wojska powrócą do domów... Czy istotnie możemy mieć pewność, że naruszone w swych podstawach instytucje będą działały normalnie w okresie paroletniego

"okresu przejściowego", że prowizorycznymi zarządzeniami da się załatwić szereg najważniejszych potrzeb gospodarczych i politycznych, że dynamika takich lub innych mas nie przerwie kruchych tam prowizorium, że spokoju radzących w "okresie przejściowym" statystów nie przerwą pioruny jakiejś nowej, nieoczekiwanej burzy dziejowej, chociażby współczesnego wydania "100 dniowej" epopei napoleońskiej?

Skoro wszyscy godzimy się z tym, że nieuchronnym następstwem tej wojny będą głębokie, rewolucyjne zmiany gospodarczo-społeczne w całym świecie, wydaje mi się, że byłoby najwyższą lekkomyślnością godzić się z tym, by t.zw. okres przejściowy stał się terenem swobodnej gry sprzecznych ruchów i tendencyj rewolucyjnych. Równałoby się to zostawieniu organizmu, wyczerpanego nad wyraz ciężką operacją, z otwartą raną, ułatwiającą wszelkiego rodzaju groźne zakażenia.

Już choćby dlatego należy co rychlej zerwać z niebezpieczną koncepcją dłuższego prowizorium i złudzeniem, że po zwycięstwie czas będzie przystąpić do dłuższej, spokojnej pracy nad rekonstrukcją świata.

Prymitywne poczucie odpowiedzialności nakazuje, by realizacja konkretnego planu organizacji politycznej i gospodarczej świata zaczęła się natychmiast po ukończeniu działań wojennych. Zrozumiałą jest rzeczą, że niektóre szczegóły tego planu muszą być na tyle elastyczne, by można było dokonywać niezbędne zmiany i ulepszenia. Ale z ustaleniem zasad i szybką realizacją ich nie będzie wolno czekać.

Stanisław Strzetelski

## Fiołki.

Może wstyd się tem wzruszać: fiołki w październiku! -  
Ale nie ma na to sposobu.  
Wyszła na miasto i pachnie w koszyku  
Wiosna wyjęta z grobu.

W mokrej wiklinie pączki z inspektów na dworze,  
To wszystko - lecz jakże stąd odejść!  
Nie wiem czy przeszła już dawno czy może  
Woła mnie znowu młodość.

Biegłbym za tym zapachem, patrzę w którą stronę  
Na powietrzu nagle mi znika  
Ach, śmieszne serce, sekundę spóźnione,  
Na wiatrach października.

Kazimierz Wierzyński

## Mały Rostworowski.

Nie pamiętam już jakie pismo paryskie rozpisało przed paru laty ankietę do wybitnych artystów, w której wśród wielu innych pytań zadane było i to także:"Co Pan /czy Pani/ uważa za szczęście?" Z pośród wielu na to pytanie odpowiedzi jedna mi szczególnie utkwiła w pamięci, odpowiedź aktorki Jane Renouardt, która napisała:"Czuję szczęście, kiedy ci, których kocham są zdrowi i kiedy zjawia się nowy prawdziwy talent." To pozornie jakże skromne sformułowanie dzisiaj zwłaszcza wydaje mi się szczególnie głęboko ludzkie i wzruszające: o ileż lżej byłoby każdemu z nas i jakżeż spokojnie, z jaką niemal wdzięcznością znosilibyśmy nasz los, gdybyśmy wiedzieli, że wszyscy nasi drodzy są zdrowi, jakżeż ufnie patrzylibyśmy w przyszłość wiedząc, że na ruinach burzonej przez barbarzyńców kultury wciąż nowe kwiaty wschodzą. Entuzjazm i poprostu braterska serdeczność wszystkich Polaków, z jaką przyjęty był pierwszy w Nowym Yorku koncert Witolda Małcużyńskiego świadczy, że każdy z nas czuje jako własne szczęście, jako wzbogacenie się to wzruszenie ciepłe i świeże, jakie niesie młody, wielki, istotny talent. Dzisiaj chcę tu mówić o innym takim radosnym zdarzeniu. W ostatnim doszłym do nas wielkanocnym numerze "Wiadomości Polskich" ukazał się duży, na dwie wielkie kolumny poemat z dopiero poraz drugi pojawiającym się w druku podpisem Jana Rostworowskiego i zatytułowany "Przystanek nazywał się Szkocja", poemat pełen wpływów literackich, a raczej jednego przemożnego wpływu, pełen naiwności młodzieńczej, ale świadczący o talencie urodzonym, niezwykłym poczuciu języka, nadewszystko zaś o zdrowym, głębokim poetyckim uczuciu; jeśli można cośkolwiek prorokować, z tego młodego poety będzie naprawdę poeta.

Ten poeta nosi nietylko wielkie nazwisko, ale jest poprostu najstarszym synem nieboszczyka Karola Huberta, jednym z czterech basałyków którym ojciec pobożny a zarazem pełen średniowiecznego poczucia groteski, nadał imiona ewangelistów, spieszczając je wszystkie według jednego wzoru i nazywając swoich pędraków "Janulo, Marulo, Matulo".

Dzisiejszego poetę, Jana Rostworowskiego, pamiętam z przed dwudziestu blisko lat, kiedy pełzał jeszcze po dywanie w staroświeckim mieszkaniu na Św.Jana w Krakowie, gdzie wielki Karol Hubert o profilu Cezara a gestach Savonaroli przeplatał swoje apokaliptyczne proroctwa żartami pełnemi pobłażania i iście krakowskiego poczucia plotki i gdzie zacna pogodna, jak polskie lato, pani Róża Rostworowska, bratanica arcybiskupa Popiela, roztaczała ciepły wsiowy i rozumny czar, wspólny paniom z wielkiego dworu i roztropnym wiejskim gospodyniom. Drogi Karol Hubert, cóż to za wspaniała była postać, co za twarz, co za wyraz, które go mu nietylko wszyscy polscy pisarze zazdrościli, ale który również przydałby się takiemu Claudelowi, jakże słabo przedstawiającemu okrągłą, pospolitą figurą zarówno swoje patetyczne poezje jak swoją ambasadorską świetność. Zawsze zapalony, gestykulujący, roztrzepany, czemś zachwycający się do uniesienia, lub coś zwalczający z bezlitosną niesprawiedliwością, pamiętam jak kiedyś w Warszawie w moim pokoju na Nowym Mieście perorując coś do otoczenia, zwracał się co pewien czas do Żeromskiego, nie wiedząc do kogo mówi i świadcząc się nim jakby jakimś nieważnym starszym panem, któremu powinny były być znane opowiadane przez niego wypadki. Kiedy sytuacja stawała się wyraźnie drażliwa, szepnąłem Karolowi, że ów starszy pan jest to ni mniej ni więcej tylko Stefan Żeromski, którego w tym czasie zresztą /było to przed "Przedwiośniem"/ szczerze uwielbiał. Rostworowski zerwał się jak oparzony i nie zapomnę jego naturalne-

go patosu, z jakim zawołał do Żeromskiego: "Mistrzu! Czyż mogłem przypuścić! Przepraszam! To straszne!" Na co Żeromski, którego wielka duma wyrażała się zwykle w zażenowanej i wzbudzającej respekt przesadnej skromności, odpowiedział ubawiony: "Ależ to ja pana powinienem nazywać Mistrzem".

To przecież on, Karol Hubert, pijąc przed wielu laty całą noc z dopiero poznanym Teofilem Trzcińskim, wypiwszy z nim bruderszaft, trzasnął go nad ranem mocno w kolano i powiedział najzupełniej serio: "Mój drogi! Między nami starymi przyjaciółmi. Powiedz mi, jak ty się nazywasz?" I przedewszystkiem co to był za pisarz wspaniały, najwspanialszy już po swoich wielkich triumfach na schyłku życia, kiedy zzuwszy koturny i wyrzekłszy się nieszczęśliwej miłości do wiersza znalazł wreszcie naprawdę siebie ze swoją potężną wiarą zarazem i bezlitosnem poczuciem rzeczywistości, stwarzając w "Niespodziance" a przedewszystkiem w niebywałej sztuce "U mety" jedyne może we współczesnym teatrze tragedie, tak prawdziwe, tak przeniknięte obecnością Boga, jak niegdyś pełne były poczucia losu tragedie Sofoklesa.

Jakżeż żywo stanęło mi to wszystko w pamięci, kiedy późną zimą 1939 roku zjawił się u mnie w Ambasadzie w Paryżu dwudziestoletni Janek Rostworowski, ubrany jak większość ówczesnych polskich ochotników z Coetquidan w białe drelichowe spodnie, które z trudem można było odróżnić od klasycznych starowarszawskich kalesonów; był zagubiony w nowym życiu, zupełnie sam, nic nie wiedząc co się stało z matką i braćmi, zupełny rozbitek i istny symbol polskiego losu. Jego pierwsze utwory, które czytałem, wydały mi się dość beznadziejnym usiłowaniem kontynuowania ojcowskich umiłowań, pierwszy jego wiersz drukowany też niczem nie wznosił się ponad poprawność i oto naraz przynoszą "Wiadomości Polskie" osiemset przeszło wierszy, wyrzuconych z pełnego serca, z lekkością młodego tenora, który, jeśli w głowie mu się nie zawróci, może kiedyś zaśpiewa jak mistrz prawdziwy.

To że poemat Janka Rostworowskiego jest poprostu naśladownictwem "Kwiatów polskich" Tuwima, że na ich rytm, ich ariostyczną dygresyjność, że wzoruje się nawet na niektórych figlach wersyfikacyjnych Tuwima - to bije w oczy każdego i niema co raz jeszcze tego podkreślać ani nad tem się rozwodzić. Sam fakt bowiem, że debiutujący poeta zaczyna od naśladownictwa, nie tylko nie jest czemś dziwnym, albo zdrożnym, ale jeżeli naśladownictwo jest udane, dowodzi to nieraz właśnie talentu, właśnie wielkiej wrażliwości, właśnie zapowiada piękną zdrową przyszłość. Nie - tylko wszyscy ważniejsi poeci współcześni zaczynali od naśladownictwa, nietylko Konopnicka i Asnyk naśladowali Słowackiego, ale dla samego Mickiewicza niewątpliwie w pierwszych wierszach mistrzem był Trembecki, naśladownictwo jest to szkoła rzemiosła, którą sobie każdy poeta wedle swej woli wybiera i niemal każdy przejść ją musi.

To co uderza w poemaciku Rostworowskiego, to właśnie już indywidualność, własne oblicze, wyłaniające się z poza tak świetnie podrobionej formy, jego zmysł kompozycji jest zadziwiający i wynikły nietylko z jakichś artystycznych zasad, ale jakby z rozumu i doświadczenia, które mu dało żołnierskie życie; żadna prawie z jego metafor nie brzmi fałszywie, żadne prawie słowo nie jest sztuczne, a niejedno rozlega się z czarującą świeżością; cały utwór drga od prostego, ale jakże szczerego, jak prawdziwego uczucia. Nie! - to stanowczo nie tylko naśladownictwo, to już nowy talent, nowy poeta, jakiej miary niewiadomo, ale znający swe możliwości, mówiący to co chce i tyle, co chce powiedzieć.

Poemat Rostworowskiego jest też bodaj pierwszym większej miary utworem poetyckim, napisanym przez żołnierza polskiego z tej wojny, od-

bijającym, jakże pięknie, skromnie i głęboko los żołnierski i żołnierskie tęsknoty; na przestrzeni ośmiuset wierszy zmieścił mały Rostworowski świadomie ograniczony, ale wyrazisty, pełny humoru i sentymentu obraz żołnierskiego życia, paroma udanymi, lekkimi słowy charakteryzując jakże rozbieżne, obozowe typy i wznosząc się do głębokich wzruszeń, które oddaje z zadziwiającymi jak na debiutanta umiarem i dyskrecją.

Po "Wielkiej podróży" Balińskiego, która była prawdziwym wspaniałym debiutem poety dawno piszącego, ale urosłego w narodowej tragedii - poemacik Rostworowskiego jest nierównej miary oczywiście, ale drugim radosnym wydarzeniem naszej wojennej poezji; jest arką przymierza między przedwojenną, zmysłową świetnością polskich wierszy, a jakimś nowym hartem, który się napewno wykuje, jeśli nie pod namiotem Szkocji czy wśród piasków Libii, to wśród ech, jakie do kraju z tych walk dolecą, lub w zaciętej, bohaterskiej ciszy nieugiętych miast i wsi polskich. Jest to bardzo wzruszające, że młody żołnierz, który te piękne wiersze ułożył i tak czysto uderzył w romantyczne struny, aby wyśpiewać odwieczną tęsknotę żołnierza do domu i do miłości, jest to właśnie syn Karola Huberta, wzrosły w najpiękniejszej polskiej tradycji i świadczący jej zarówno życiem jak pieśnią. Niechże mu się dobrze powodzi na wojnie i niech wyrośnie na prawdziwego poetę.

Jan Lechoń

## Głębszy sens wydarzeń.

Wydaje się, że wieki dzielą nas od poniżających prób przejednania zbrodni niemieckiej za pomocą mizernych transakcji politycznych. Chyżość wydarzeń poddała ludzkość zmianom, wobec których bledną utopie samego Wellsa. Wprawdzie wielkie i całkiem ślepe siły zostały wyzwolone na cały świat, ale w tym monstrualnym zamęcie już dziś można wytropić pewien zamysł historiozoficznej logiki, zmierzającej do nowego kształtu życia. Nie uciekając się do taniej mistyki analogii historycznych, znajdziemy jednak w przeszłości mnóstwo elementów, które stanowić mogą podstawę do przewidywań. Najbardziej uderzające jest działanie prawa przesuwania się ośrodków cywilizacji w niezmiennym kierunku geograficznym. Ma to związek z odkryciami nowych kontynentów i udostępnieniem coraz możniejszych bogactw materialnych. Po Rzymie, Aleksandrii i Wenecji, a więc z basenu morza Śródziemnego, poprzez Hiszpanię i Portugalię, ośrodek świata przenosi się do Londynu. Przed wojną Nowy York stopniowo zagarniał przewodnictwo. W każdym razie są to zawsze porty, a skłonność wędrówki skierowana jest ku zachodowi. Być może, że w niedalekiej przyszłości nawet Atlantyk postrada swoje znaczenie.

Olbrzymi i obfity w bogactwa świat Pacyfiku stanie się areną gigantycznych rozgrywek, które zadecydują o losie białej rasy. Obecne starcie z Japonią jest zapowiedzią większych zmagań, które przyniosą naszej cywilizacji tryumf lub zagładę. Nie może być wątpliwości, że po klęsce Japonii staniemy wobec zjawiska stokroć ważniejszego, wobec faktu budzenia się setek milionów azjatyckich ludów do życia narodowego i państwowego. Zmodernizowane Chiny i usamodzielnione Indie przeobrażą rewolucyjnie układ międzynarodowy. Już dziś kolonizatorskie metody ekspoatowania tych przestrzeni bez udziału tubylców zaczynają całkowicie zawodzić, jak to widzimy choćby z ostatnich wydarzeń w Indiach i w Burmie.

Wrażliwsze na tego rodzaju objawy Stany Zjednoczone zadeklarowały niepodległość Filipińczyków, co stanowi przełom o znaczeniu dziejowym. W nowych warunkach wszystkie siły twórcze naszej cywilizacji będą skierowane głównie na Pacyfik, gdzie czeka ją współpraca z równymi, rozrodczymi rasami lub walka, wielkość lub upadek. W każdym razie współzawodnictwo w niebywałej zaiste skali. Na nowej scenerii aktorami dramatu politycznego będą Ameryka, Anglia, Rosja ze swoimi obszarami azjatyckimi, Chiny, Indie, Australia.

W obliczu tej wizji niedalekiego świata, dzisiejszy konflikt zyskuje całkowicie odmienną wymowę. Jest to jakby walka zaplecza, walka o ostateczne skrystalizowanie solidaryzmu białej rasy, o typ cywilizacji którego naczelnym hasłem będzie poczucie wspólnoty narodów europejskich. Walka ta toczy się ze zdrajcą tej cywilizacji, z wyrzutkiem tej wspólnoty, który dla celów egoistycznych podeptał wszystkie zdobycze mozolnego postępu ideowego. Trud unicestwienia tego wewnętrznego wroga odbywa się jednocześnie z odpieraniem pierwszego natarcia straży przedniej świata azjatyckiego. I właśnie fakt, że Niemcy nasłali tego zewnętrznego wroga, pogłębia ich winę. W imię przyszłości naszego świata kara musi być druzgocąca, ostateczna, gdyż konieczność harmonijnego solidaryzmu nie jest już tylko kwestją nakazu etycznego, lecz sprawą bytu lub niebytu. Wszelkie też zapędy aneksonistyczne o charakterze zaściankowym, nietylko zaogniają w szkodliwy sposób stosunki między narodami, lecz godzą w tą nieodzowną solidarność i świadczą o niezrozumiałej krótkowzroczności politycznej. Powinna to pojąć przedewszystkiem Rosja, której zadania są związane z nieogarniętemi obszarami azjatyckiej sfery jego panowania, która więc powinna zabezpieczyć swe zaplecze na drodze dobrego sąsiedztwa.

Główny ciężar nowych dziejowych problemów dźwigać będzie niewątpliwie Ameryka, jako kraj najbliżej ku Pacyfikowi wysunięty. Ameryka też będzie miała głos decydujący w uporządkowaniu stosunków powojennych. Z jej położenia, jak i też położenia naszej cywilizacji wynika jasno, że należy dążyć do jaknajwiększej konsolidacji narodów białych. Jeżeli ta konsolidacja ma zyskać spoistość moralną, trzeba, by była wcielona w życie zasada równouprawnienia narodów, przez dopuszczenie ich do równego udziału w zdobyczach materialnych i duchowych. Wprowadzenie do tej dziedziny jakiegoś stopniowania na zasadach fikcyjnych praw nabytych lub też liczebności narodowej - stanowić będzie źródło nowych konfliktów i nowych, jeszcze groźniejszych wstrząsów. Rozkład będzie pogłębiał się w obliczu rosnącego dynamizmu ras kolorowych. Byłby to niewybaczalny, ślepy egoizm, który przynieść może zgubę naszej cywilizacji. Jednakże "Charter Atlantycki" jest niewątpliwym dowodem, że idea równouprawnienia narodów przestaje być fikcją. Oby po wojnie nie spaczyli jej politycy kuluarowi, oby nie stała się ofiarą zakulisowej frymarki dyplomatów i oportunistów.

Pod presją dzisiejszych wydarzeń dokonują się również głębokie przeobrażenia w ustrojach socjalnych społeczeństw. Przemiany te posuwają się stopniowo i mają pozorny charakter zarządzeń wojennych, dlatego nie spostrzegamy ich rewolucyjnego charakteru. Niewątpliwie jednak wiele z nich przetrwa kataklizm jako bezpowrotna zdobycz demokratyczna. Przedewszystkiem więc w Anglii pogłębia się socjalizacja ekonomicznego ustroju i wzrost wpływów politycznych szerokich mas społeczeństwa. Ostatni projekt Roosevelta, ograniczający dochody osobiste do 25 000 dolarów rocznie i wprowadzający planowość w system cen rynkowych - stanowi kres, przynajmniej na okres wojny, tak uporczywie bronionego liberalizmu ekonomicznego amerykańskiej demokracji. "Nie chcielibyśmy - po-

wiedział w swojej deklaracji - po tej wojnie narażać na taki sam zgubny kryzys ekonomiczny tych wszystkich bohaterskich mężów, którzy dziś walczą za nas we wszystkich częściach świata". Z tego oświadczenia wynika jasno, że zmiany te nietylko mają na celu ocalenie systemu ekonomicznego i wzmożenie produkcji wojennej, lecz również ochronę szerokich mas przez sprawiedliwszy podział dóbr materialnych i wydobycie w ten sposób największej dynamiki i entuzjazmu powszechnego. Niewątpliwie świat rozwija się w kierunku rozbudowy demokracji politycznej w demokrację ekonomiczną. Rezultatem tych procesów będzie bardziej pogłębione i bardziej dojrzałe pojęcie sprawiedliwości społecznej, które zaważy na odbudowie świata powojennego.

Polacy muszą obecnie dokonać wielkiego wysiłku umysłowego, by z tego splotu nowych zupełnie i nieoczekiwanych procesów wysublimować własną myśl polityczną. Nietylko bowiem chodzi o to, by Polska wyszła z tej wojny lepsza i zdolniejsza do życia, nietylko sprawa będzie się toczyła o najlepszy ustrój wewnętrzny, ale nadewszystko o jej pozycję międzynarodową. Wojna bowiem nie zmieni jej problemów geopolitycznych. Obecne zmiany, jakie dokonują się w świecie, muszą przeniknąć jako twórcze elementy do jej wyobraźni politycznej. I tu nasuwa się nęcąca analogia. Walczące o niepodległość kraju legiony Napoleońskie, w swej pełnej udręk włóczędze przez kraje Europy niosły hasło: "Za naszą i waszą wolność", Z rewolucji francuskiej, z najgorszych pogromów złudzeń, z sprzeniewierzeń Napoleona i jego dynastycznego imperializmu ocaliły najszlachetniejszy, najbardziej ludzki walor ideowy nowej myśli politycznej. Wniosły ją do kraju, który tym samym stał się wiernym ich pionierem w Europie. Lata 30, 48, 63, rok 1905 są świadectwem, że wolność Polski ściśle związała się z losem postępu politycznego świata.

Dziś znowu żołnierz polski walczy na wszystkich rubieżach świata. Walczy w Anglii, pod tropikalnym słońcem w Libii, otrząsa się do nowych czynów z straszliwego męczeństwa rosyjskiego, gromadzi swe szeregi na bliskim Wschodzie. W swej niezłomnej wędrówce jego autorytet moralny nabierał coraz większego blasku. Walczy bowiem nietylko o wolność własnego kraju, lecz stał się symbolem nieugiętego ducha w zmaganiu się z ciemnemi siłami w imię naszej cywilizacji. Te najwyższe idee, to "myślenie globowe", uzyskane w pielgrzymce po świecie, pułki polskie przyniosą na swoich sztandarach do kraju. Znowu losy polskie związane będą z najszlachetniejszą ideą solidaryzmu białej cywilizacji i równouprawnienia międzynarodowego. Od zwycięstwa tej idei zależeć będzie wielkość Polski.

Zenon Kosidowski

## Kraszewski na stosie.

Dziewięć lat upływa od historycznego dnia 10 maja, gdy na berlińskim Opernplatz młodzież hitlerowska z nieukrywanym entuzjazmem rzucała na płonący stos książki Woltera i Gorkija, Heinego i Manna, Sinclaira i Feuchtwangera, Freuda i Einsteina, wznosząc okrzyki na cześć tego, który przeszedł tym sui generis "Dniem Książki" do dziejów kultury po wszystkie wieki.

Następne lata były łańcuchem krwawych potwierdzeń teorii dziesiątego maja. Data ta rozpoczęła nieskończony jeszcze okres walki z

kulturą i cywilizacją a etapami jej były krzyże na grobach profesorów uniwersytetu, zamęczonych w obozach koncentracyjnych, ruiny muzeów i bibliotek, zwalone i przetapiane na "surowiec wojenny" pomniki i rzeźby, wandalizm w stosunku do wszystkich zabytków historycznych w krajach okupowanych i systematyczna, permanentna kradzież dzieł sztuki europejskiej która stworzyła jedyną dziś w świecie galerię Goeringa.

Walka z książką trwa i jest konsekwentnie prowadzona wszędzie, gdzie tylko żyją Niemcy i sięga rozkaz Hitlera, obojętne pod jakim stopniem szerokości i długości geograficznej. Leży przedemną wymowny tego dokument. List kierownika "Deutsche Volksgemeinschaft in Mexiko" do podległych mu bibliotek związkowych z wyliczeniem książek, które należy zniszczyć, gdyż zostały usunięte z bibliotek na terenie Trzeciej Rzeszy i spalone. Spis "uwzględnia" m.i. dzieła Uptona Sinclaira, Wassermanna, obu Mannów, Wolffa, Arnolda Zweiga, Werfla i ....J.I.Kraszewskiego "/"Stara Baśń" i "Na dworze Augusta Mocnego"/.

Dziwne są losów koleje zwłaszcza w tak obłąkańczo paradoksalnej epoce jak dzisiejsza. Polski Lope de Vega tłumaczony na język Haushofera i Rosenberga u schyłku ubiegłego stulecia gdzieś w miasteczku bawarskim przez starszą panią w binoklach, zakochaną w drezdeńskim wspomnieniu młodości - płonie dziś w r. 1942 na podwórzach meksykańskich, gdyż jest protoplastą "emigrantów żydowskich" /"Freies Deutschland"Nr VI str 6./ Kraszewski - Żydem! Doprawdy, że jedynym powodem tego rodzaju nieporozumienia miał być fakt, że Kraszewski ... nosił długą czarną brodę i z tą brodą zjawił się w Dreznie.

W tym szaleństwie niema nawet metody, bo gdyby Savonarola z Gestapo, układający indeks książek "szkodliwych" wiedział, że Kraszewski wyemigrował do Drezna w r. 1863, wydalony przez władze rosyjskie - winien był w dniu 22 czerwca 1941 a więc z chwilą wybuchu wojny niemiecko-rosyjskiej zakaz cofnąć; w myśl bowiem wszelkich zasad logiki Kraszewski nie mógł być protoplastą emigrantów żydowskich, opuszczających dziś Niemcy, sytuacja była tu wręcz odwrotna - jednak do stwierdzenia tego faktu trzeba było zapoznać się z przedmową niemieckiej tłumaczki. Ale w Trzeciej Rzeszy zamiast książki czytać - pali się je i w ten sposób reguluje się swój stosunek do książki w sposób szybki, prosty i pozbawiony kłopotu.

Smutne dzieje Kraszewskiego w Meksyku przypominają mi pewną anegdotę z przed dziesięciu lat. Do znanego satyryka lwowskiego Raorta podchodzi na bankiecie wpół-pijany ziemianin i mówi mu z wyrzutem: "Żeby bis kup chodził we fraku? Pfe!" Po dwu godzinach rozmowy wyjaśniono nieporozumienie. Ziemianin pod wpływem dobrego wina zamienił Raorta z Or-Otem który pisał o "Starem Mieście"; "Stare Miasto" pomieszał z "Starą Baśnią" Kraszewskiego a samego Kraszewskiego z biskupem Krasickim i w wyniku tej asocjacji myśli uważał za nieodpowiednie, by biskup chodził we fraku.

Kraszewski, palony na stosie w Meksyku przez hitlerowców jako żydowski emigrant byłby również wesołą anegdotą - gdyby nie był faktem smutnym, ponurym i budzącym grozę makabrycznym analfabetyzmem zbrodniarza.

Jerzy Tepa

Time bomb. Powieść
Ciąg dalszy.

-A teraz co pani jest? - spytał asystent, chcąc przecie wydobyć jakieś informacje o stanie jej zdrowia.
-Ze mną nie jest tak źle, panie doktorze. Więcej na niego poleciało -ze współczuciem wskazała na męża.
-Bo ona, powiedział wtedy doktór, musi jeszcze przez jakiś czas na siebie uważać - ostrzegł go znowu staruszek, bo asystent, widząc że niczego nie dowie się z opowiadania, zaczął odsłaniać jej plecy.
-Pan doktór potrzebuje ciszy.- Miss Violet położyła palec na usta, więc Mr White umilkł. Ale równocześnie z drugiego kąta pokoju dochodziły szepty trudniejsze do uciszenia. Wanda, przechylona ku noszom swojej sąsiadki, trzymała ją za rękę i namawiała do zwierzeń.
-No i co?...Gadać się trzeba, miss Jones! Gadać się! I dali mu urlop? - Rozpłakana dziewczyna mówiła szeptem, łapiąc z trudem oddech.
-Na jeden dzień dali...i akurat dzisiaj wieczór przyjechał... No i mielim już... mielim już iść spać...No i on jeszcze..- Ścisnęła rękę Wandy w nowym wybuchu płaczu.
-No? No? Koniecznie wygadać się wszystko!
-On jeszcze po papierosy...chciał do sklepiku...A ja nie dałam, bo tak te bomby...i sama poszłam, choć on się śmiał...I akuratnie dochodzę do domu...i...-Nowy wybuch płaczu nie dał jej skończyć.
-Płacz się, płacz się, to lepiej -szeptała Wanda.- Niech wypłacze się wszystko - poradziła asystentowi, który do niej podszedł.-To lepiej jak dusić w środku.
-Tak, tak - uśmiechnął się i przyjrzał się prowizorycznemu opatrunkowi na szyi dziewczyny, z pod którego obficie sączyła krew.- Tak, ale to później...a tymczasem proszę odrazu na salę operacyjną. Pani pierwsza do profesora - wydał dyspozycję Miss Violet i przeszedł do Niemca.
-Co panu jest?
Niemiec chciał coś odpowiedzieć i już otworzył usta, ale nagle przerwał mu niespodziewany gwizd bomby. Zareagował niespodziewanie silnie. Drgnął, szeroko otworzył oczy i usta i przez chwilę nie mógł wydobyć głosu.
-Co panu jest? - powtórzył asystent, obserwując go uważnie.
-Co mu jest? Boi się! - usłyszał nagle głos Wandy.-To przecie widać!
Asystent z trudem opanował śmiech.
-Ale czego panu brak?
-Shelter? Shelter nie?- zapytał w odpowiedzi Niemiec.
-Sheltera mu brak!- dał się znowu słyszeć głos Wandy.
Niemiec zauważył, że wszyscy ukrywają śmiech i, choć nie rozumiał przyczyny, też uśmiechnął się.
-Nie ma sheltera -odpowiedział asystent.- A gdzie pana boli?
-Angielskie...nie umiem -wystękał z trudem.-Ja...w dół...buch... tysiąc metr.
-Spadł z wysokości tysiąca metrów!- szepnęła z podziwem Mrs Karfunkel.
-I nie wybuchł! -zawołała Wanda ku ogólnej radości. Asystent odwrócił się, żeby uciszyć ją, ale zobaczył tak ładną dziewczynę, że zapomniał o uciszaniu. Ze zwichrzonymi włosami i z świecącymi oczyma wyglądała jak rozbawione dziecko.
-Ojej!-zawołała nagle. -Jak on spadł i on nie wybuchł, to on jest time-bomba! Ostrożnie, panie doktorze, bo on jeszcze wybuchnie! Trzeba go zaraz do ogrodu i zakopać w ziemię! Tak robią w Londynie!
Nikt już nie ukrywał śmiechu. Śmiał się nawet i Niemiec, choć widać było, że nic nie rozumie. -Zaraźliwość śmiechu, odruch zupełnie podobny do naszego, pomyślał asystent. Miss Violet próbowała uciszyć

Wandę, ale asystent stanął w jej obronie.
-Po tych wstrząsach przyda się państwu trochę śmiechu.
Nie bardzo wiedział, jak zabrać się do Niemca, ale przypomniał sobie, że zestrzeleni lotnicy, waląc się z aparatem na ziemię, kurczowo ściskają ster i przy upadku wyłamują ręce ze stawów.
-Więc spadł pan i co? I całym ciężarem na ręce, tak?- spytał, a widząc , że Niemiec nie rozumie wskazał na stawy barkowe.-Boli tu i tu?Tak,
-O tak, tak...
Przerwał mu nowy gwizd bomby. Wszyscy teraz patrzeli na niego, on jednak mimo wysiłków nie mógł opanować się.
-Przecie on sam tak samo gwizdał, jak "buch w dół...tysiąc metr", a teraz boi, bohater! - mruknęła Wanda.
Widać było, że bał się rzeczywiście. Gdy rozległ się huk wybuchu, wtulił głowę w ramiona, mimo że sprawiało mu to ból.
-Nie ruszać się, póki nie obejrzy profesor - ostrzegł go asystent. -Rozumie pan?
-Nie.
-Ja mu powiem tak, że od razu będzie zrozumieć -wmieszała się Wanda a gdy Niemiec spojrzał na nią, poruszyła ramionami, potem pokazała na staw barkowy, a potem zmarszczyła brwi i ostro pogroziła mu palcem.
-Verboten!-krzyknęła karykaturalnie pruskim akcentem.
-Jawohl. Verstehe - odpowiedział poważnie.
-Proszę!-pochwaliła się, zwracając się do wszystkich.-"Verboten" Niemiec zrozumie od razu!
Asystent musiał znowu odwrócić się od Niemca, żeby nie pokazać śmiechu. Podszedł do niej.
-A co pani jest?
-Nic.
-Jak to?
-Nic - powtórzyła wesoło.-Zero. Absolutne zero.
-Więc co pani tu robi?
-A jak iść, kiedy nurse nie pozwalała wstać? Na leżąco?
-Ale co pani było?- dopytywał się.
-Żebym ja wiedziała!
-Pani była nieprzytomna, kiedy panią przywieziono -wyjaśniła Miss Violet.
-I zupełnie nie pamięta pani, co było?
-Co było?- myślała przez chwilę - Mnie było na dachu. Ja taki... firewatcher na dachu...gdzie z przyjaciółką mieszkam. I dwie zapalające zgasiłyśmy, tak! -Szukała słów i pomagała sobie rękami, ale opowiadanie jej miało ogromną ekspresję.-No i worek się skończył się.. Worek piasek-- wyjaśniła.-No i ona na dół po więcej piasku..i zostałam sama się i bałam. Więc teraz ja muszę po nią szukać, a nurse nie! To mogę już wstać?
-Ale co się pani stało, jeszcze nie wiem.
-Aha! Więc stało się,że nagle samolot!- Nie znajdując wyrazu pomogła sobie głosem, naśladując jęk samolotu.-Samolot:"uuu-uuu-uuu"...i te reflektory łapią go i mu strzelają:"puk,puk,puk,puk,puk" strasznie! No i nagle...wszystko jasno! Jak w jasny dzień! Bo rzucił jakieś coś. Aż patrzeć nie można! No i nagle -obniżyła głos do basu- "uuuuu" nurkuje! I prosto we mnie! Widziałam całkiem doskonale jak leciał w tych reflektorach. - Nagle przerwała i zmarszczyła brwi.
-Zaraz, zaraz...-zaczęła trzeć czoło, jakby chciała sobie coś przypomnieć.
-Widziała pani całkiem wyraźnie, mówiła pani - pomogła jej Mrs Karfunkel.

/Ciąg dalszy nastąpi/

Antoni Cwojdziński